

Tadeusz Nyczek – wywiad z Eugeniuszem Getem Stankiewiczem

Co widzi mrówka? Kot? Wróbel? Co Ty widzisz? Każdy ma inne oko, przyroda zadbała tu o znaczne różnice. Ja przecież widzę inaczej niż Ty. Nie ma przecież „obiektywnej rzeczywistości”.

Nie wiem, co widzi mrówka czy wróbel, ale zawsze interesowało mnie, jak wygląda oko np. muchy, jak jest zbudowane, z czego się składa, jak działa itp... Zajmowało mnie, bo sam mam wystarczająco dużo problemów z widzeniem, krótkowzrocznością i achromatycznością. Minus siedem dioptrii, okulary na nosie od kilkadziesiąt lat, niektórych kolorów nie widzę. Albo nie widzę ich w pewnych sytuacjach. A wiem, że są. I chyba mijam się z obiegowym pojęciem „widzenia” koloru.

Z kolorem widzianym przez człowieka jest jeszcze tak, że nie tylko widzi się kolory, ale poniekąd „widzi się pamięć o nich”. W nocy nie widzę barw, ale wiem, że dom naprzeciwko ma zielone balkony. Mogliby je w nocy przemalować, a ja nadal wierzyłbym, że są zielone. A dla kosmity, który właśnie tej nocy przyleciałby na moją ulicę, wszystko byłoby czarne, o ile on widziałby kolory tak jak ja.

To Wittgenstein zadał takie małe pytanko: – Czy w ciemnościach róża jest czerwona?

Kolor jest umowny? Umawiamy się, że coś jest takie czy takie? Wiadomo też przecież, że coś określając, bardzo to w języku upraszczamy. Mówimy „niebieskie”, ale to niebieskie może być dla Ciebie innym niebieskim niż dla mnie, budowa oka może zmienić odcienie. Zresztą kolory w ogóle często odrywają się od „naturalnych przedmiotów”, swoich nośników, zaczynają żyć własnym życiem.

No to zbliżamy się w okolice bardziej mi znajome.

Jesteś grafikiem, co oznacza, że przyjąłeś jeszcze inny punkt widzenia. Stwarzasz świat maksymalnie sztuczny też dlatego, że Twoją wyjściową postawą jest tu czerń i biel, a dopiero potem jakiś kolor, jeśli już zdecydujesz się go użyć. W naturze rzadko występują zestawy czarno-białe, podobnie jak kąty proste.

Jestem entuzjastą kątów prostych. Mam tu w pracowni kilkadziesiąt ekier, przykładnic, kątowników. Wielki zbiór Kąta 90°.

A co do „oderwanych kolorów”. W Polsce, w latach siedemdziesiątych zostało określone co jest państwową czerwinią. Po prostu zastrzeżono konkretny kawałek widma słonecznego. Parę miesięcy temu straciliśmy we Wrocławiu „kolorowy” plac. Zmieniono nazwę Placu Czerwonego. Bo na tym placu stoi budynek a w nim mieści się Zarząd Regionu NSZZ „Solidarność”. No i zmieniono, bo jakże to tak, „Solidarność” na Placu Czerwonym. Zaprotestowałem, podpisaliśmy się Get-Stankiewicz – daltonista i Piotr Wieczorek, prezes wrocławskiego Związku Plastyków – astygmatyk. Oczywiście, można zapytać, czy daltonista może bronić kolorów? (od ćwierć wieku jestem „prezesem” Nie zarejestrowanego Towarzystwa Ochrony Czerwonego).

Pamiętasz taki stary filozoficzny spór realistów i nominalistów? Realisci widzieli świat rzeczy, jaki jest, a nominalisci postrzegali go poprzez słowa, określenia, bez nazwania jakby nie istniał. Komuniści byli takimi nominalistami, chcieli świat widzieć takim, jakim go nazywali, a nie jakim był. W sztuce podobnie robili konceptualiści...

...Nie czynili rzeczy, ale nazywali coś, co być mogło, ale już odtąd nie musiało, bo wystarczyło nazwanie.

Get, wydaje mi się, pomimo tych wszystkich skojarzeń, o których teraz mówiliśmy, że Ty jednak jesteś nominalistą – przynajmniej kolorystycznym. Traktujesz kolor jako coś, co może być użyte w pewnej funkcji. Decydujesz, co może być kolorowe i jak kolorowe, a nawet czy to, co jakoby jest czerwone, naprawdę jest czerwone.

Kiedys, dawno temu, wracałem nad ranem z Klubu Związków Twórczych. Byłem w stanie już byłego upojenia, a obecnego bardziej znużenia. Przechodzę koło rabatki z tulipanami. I tak jakoś, z przyczyn obiektywnych przechyliłem się w prawo – a tu patrzę, i kwiaty i liście są całe czerwone. A zaraz potem z takich samych przyczyn przechyliłem się w lewo – i nagle, cholera, patrzę, nowy gatunek tulipanów: liście i kwiaty zielone. Zdumiałem się i zachwyciłem. Coś się stało ze światłem, ze mną i zobaczyłem dwie różne rabaty. Chociaż oczywiście wiedziałem, że u góry powinno być czerwone, a niżej zielone. Czy ja to widziałem, czy „wymyśliłem”? Jak to się stało!? I gdzie!? W oku? W tzw. umyśle?

Z tym nominalizmem kolorystycznym są w ogóle zabawne rzeczy. Świetnym przykładem znominalizowanego świata kolorów były istniejące swego czasu takie kolorowane nakładki na telewizory. Na górze niebieskie, na dole zielone, pośrodku czerwono-żółtawe. To było, według układu, powiedzmy „człowieka na łące” – u góry niebo, na dole trawa, w środku opalająca się dama. Czasem stosuję w swoich grafikach podobny schemat: na górze rysuję niebieską kreskę, na dole zieloną. To niby zabiegi estetyczne, ale chyba nie tylko, nie wiem. Właściwie nie umiem, nie potrafię powiedzieć, dlaczego używam kolorów. A może wiem!?!... Żeby innym było ładniej! A może... żeby było zrozumiałej?!

Jako kolorystyczny nominalista, albo symbolista, barwisz rzeczywistość grafik czy obrazów wedle pewnych znaczących założeń, a nie jakichś „obiektywnych faktów”. Taki przykład. Bardzo często używasz swojej twarzy do różnych obrazków. Zobacz, ile rzeczy z nią robisz, także kolorystycznie. Wszystko zależy od tego, na co chcesz zwrócić uwagę, a nie na to, czy coś jest „naprawdę” takie czy inne. Jeśli zależy Ci na pewnych kontekstach wokół twarzy, zostawiasz ją w kolorach, powiedzmy, zbliżonych do naturalności barw ludzkiej skóry. Ale jeśli chcesz zwrócić uwagę na jakiś jej aspekt, coś przez to powiedzieć, robisz na przykład tak jak tu: malujesz twarz na zielonkawo-śniedziowato, w dodatku dajesz jej karnację ni to spiżu, ni to kamienia, ale ucho wyodrębniasz, czyniąc je żywym, co zaznaczasz, dając mu karnację naturalną skóry. Gdzie indziej podkreślasz w ten sposób nos, albo wtykasz coś na głowę, jakieś celowo czerwone czy fioletowe przedmioty czy tylko znaki umowne. Robisz, bo ja wiem, t e a t r k o l o r ó w, budujesz na płaskich przestrzeniach rodzaj scenografii, małego dramatu, w którym kolory grają rolę aktorów.

Twoim zdaniem ja w i d z ę kolory – czy ja w i e m o kolorach?

Dobre pytanie.

Kiedys powiedziałem: ja kolorów nie widzę, ale w i e r z ę w kolory.

Czyli wiesz, że coś takiego, jak kolor istnieje.

Tak.

Ale to nie są kolory natury, w każdym razie rzadko takich używasz, być może zresztą też więcej o nich wiedząc niż je widząc. Manipulujesz kolorami, dobierasz je. Ale w końcu kolorysty też tak robili. Na ich obrazach jest znacznie więcej koloru „wymyślonego” niż tego, który na pozór widać obiektywnie.

Tak naprawdę ja się wspaniale czuję w czerniach, bielach i szarościach. O, tu leży taki rysunek, projekt. Nie ma kolorów, tylko opisy – tu „czerwień”, tam „zieleń” i tak dalej. I drukarz musi to wydrukować. Ale jaką czerwienią? Jaką zielenią? No właśnie. Dołączam numery kolorów z katalogu. Posługuję się wiedzą.

Kolory nie tylko są. Ale coś znaczą. Biel, czerwień. Polska flaga. Nawet proporcje są ważne. Dodaj fladze czerwonego kosztem białego albo odwrotnie – już wszystko się zmienia, zaczyna znaczyć coś innego. Żółta opaska na ramieniu Żyda i „Słoneczniki” van Gogha: żółć i „żółć”. Jak w tym chaosie pojąć i znaczeń poruszać się?

Bo u Ciebie to musi mieć jakiś dodatkowy cel, sens, pozakolorystyczny, pozaestetyczny. Nawet jak malujesz takie feeryczne plakaty festiwalowe czy teatralne, kolorowe jak cholera. Wtedy ta

kolorystyczność tłumaczy się choćby tematem, wielobarwnym festiwalem. Może to przypadek, że akurat we Wrocławiu działała po stanie wojennym Pomarańczowa Alternatywa. Pomarańczowa właśnie, a nie czerwona, bo wojowała z czerwonym tą swoją chytrą pomarańczowością, co wywodzi się przecież z czerwieni, ale nią już nie jest, choć się kojarzy. Ty też używasz czasem koloru jako broni, jako podstępu, zwodu, aluzji, gry znaków.

Kiedyś, lata temu, w 1980 albo 81, Zbylut Grzywacz, nasz krakowski malarz, bardzo wtedy zaangażowany w artystyczną wojnę z ustrojową paranoją, zrobił jedyną chyba scenografię w życiu, do spektaklu Andrzeja Dziuka według Andrzeja Bursy. W kacie piwnicy poustawiał stopy sztandarów, w domyśle narodowych, takich pochodowo-wieczowych. Tylko, że zamiast czerwono-białych płócien miały smętnie zwisające płachty przezroczystej folii. To robiło okropne wrażenie, przez ten nagły brak koloru, jego dokładne wypranie.

W latach siedemdziesiątych byłem na koncercie Jacka Kleyffa z „Salonu Niezależnych”, w Krakowie, bodaj na Festiwalu Piosenki Studenckiej. Wtedy po raz pierwszy usłyszałem tak w pełni Jacka. Dałem mu potem – na pamiątkę – przedmiot... To był czerwony krzyż z białym Chrystusem. Jeszcze mam rysunek tej pracy z tamtych czasów. Szkic czerwona kredką, krzyż, na nim biały Chrystus. I tytuł: „Krucyfiks dla biskupa polskiego”. Co to jest? Żart, czy co... Jak byś to opisał?

Przesymbolizowałeś symbol. Na ikoniczny symbol ukrzyżowanego Chrystusa nałożyłeś polską ikonę narodową. Nie kojarzyłoby mi się to wtedy z żartem. Ale dziś, bo ja wiem, zależy kto by to komentował. Dla księdza Rydzika mógłby to być symbol polskiego (albo jego osobistego...) męczeństwa. A znowu kto inny mógłby odczytać z tego przestrożę przed taką właśnie narodową uzurpacją, zawłaszczaniem cudzej męki. Gry z symbolami bywają, jak same symbole – dosyć wieloznaczne.

A teraz całkiem prywatnie: jestem kolorystą czy nie?

Powiem tak: jesteś kolorystą inaczej. Termin koloryzm, przypisany do historii sztuki, to jednak coś innego niż Twoja robota. Koloryści ustawiali martwą naturę, albo stawali przed pejzażem, ale nie komentowali tych rzeczywistości, tylko zajmowali się ich kolorystyczną kompozycją na płótnie. Ty, kolorem – a raczej także przy pomocy koloru – budujesz nową przestrzeń znaków, znaczeń. Reinterpretujesz rzeczywistość. Koloryści nie używali barw symbolicznych, co Ty czynisz nagminnie i programowo. Oni szukali na płaszczyźnie płótna kolorów dopełniających, dla Ciebie każdy kolor znaczy osobno, bo obarczasz go wartością dodatkową, właśnie symboliką.

Ale mnie zależy, żeby to było ładne!

A dlaczego miałoby Ci nie zależeć? To się nie kłóci. Nie jesteś przecież ekspresjonistą, turpistą, fowistą czy czym tam jeszcze. Jeśli szukać etykietek, trochę na siłę, jesteś bardziej surrealistą, ale dlatego, że masz poczucie poruszania się w przestrzeni surrealistycznej, a przynajmniej miałeś w tamtym ustroju. Ale i z poetyki surrealistycznej też Ci coś zostało. Choćby te bardzo kolorowe plakaty imprezowe, na festiwale piosenkowe czy teatralne.

Ale skąd wiesz, że ja widzę kolory?

Bo je widzę w Twoim malarstwie. Chyba, że doskonale udajesz, że je widzisz.

No właśnie. I co byś wtedy zrobił?

Czy można udawać, że się widzi – nie widząc? Przecież sięgasz po tubkę z taką, a nie inną farbą...

Ale na tubce jest napisane... Zobacz, ja nie mam tu ani jednej tubki, ani jednej kredki bez tekstu. Nigdy nie strugam kredki od strony napisu. Wszystkie kolorowe tusze, jakie mam, mają nalepki. Jestem specjalistą od opisów kolorów w różnych językach. To są moje partytury. Moje nuty. Czy muzyk, pisząc utwór, robi określone znaczki na papierze czy słyszy muzykę? Słyszy – czy wie co pisze? Ja jestem

czymś takim zafascynowany. Tymi opisami, przepisami na „dzieło”. Nie wiem, czy pamiętasz taki mój obraz: na różowym tle napis 50% białego, 50% czerwonego...

No, tu ja jestem cały głupi. Bo ja, ktoś z zewnątrz, posługuję się tym, co widzę, czyli wyciągam wnioski z gotowego produktu. Nie znam drogi, na której to zostało osiągnięte. Nie siedzę w Tobie w środku, nie widzę Twoimi oczami. Z partyturą różnica taka, że dopóki nie usłyszę, nie wiem, co to za muzyka, nie umiem czytać nut i słyszeć „wewnętrznie”, jak może słyszą kompozytorzy stawiający te swoje znaczki. Pamiętasz legendę o Beethovenie, który ogłuchł, ale słyszał swoje symfonie jakimś wewnętrznym uchem, wewnętrzną wyobraźnią muzyczną. Ale Twoje partytury są już muzyką, ja je widzę i słyszę. Choć oczywiście nie mam pojęcia, co ty słyszałeś i widziałeś. Ślepcy też malują, nie tylko nie widząc kolorów, ale nawet napisów. Mówiliśmy na początku o musze i jej oku; czy my wiemy, co ona naprawdę widzi? Mamy badania naukowe, to jest opisane, ale nigdy nie będziemy muchą i nie będziemy patrzeć jej oczami. Ty też możesz zrobić badania i ogłosić co naprawdę widzisz, ale dla mnie to będzie tylko ciekawostka przyrodnicza; jak facet, nie widząc kolorów, albo widząc je jakoś inaczej niż ja czy jak wszyscy, maluje tak, jakby widział „normalnie”. Bo Ty naprawdę nie malujesz tak, żebym ja mógł czy musiał podejrzewać w tym jakiś ukryty numer, sztuczkę na złudzenie.

Nie wiesz, co ja widzę, czy nie potrafisz tego nazwać?

Jedno i drugie. O widzeniu mówiliśmy. A nazwanie... Nie umiem nazwać czegoś, co mi nie przychodzi do głowy. Nie przychodziło mi do głowy podejrzewanie Ciebie, że nie widzisz „fizjologicznie” kolorów, bo Twoje prace nie dają podstaw do takich podejrzeń. Mówisz mi tu o napisach na tubkach i tak dalej. A skąd ja mam wiedzieć, czy to nie jest jakaś dalsza gra Twoja ze mną, ze światem? Przecież nigdy nie sprawdzę co wiesz, a co widzisz. Może faktycznie nie mógłbyś być Janem Cybisem, bo do mieszania czy dopełniania kolorów na płótnie trzeba je jednak na swój sposób widzieć, wewnętrznym czuć. Choć... cholera wie... do Twojego świata malarskiej symboliki chyba faktycznie nie trzeba specjalnie widzieć, wystarczy dobrze wiedzieć i umieć zastosować. To akurat umiesz i robisz.

I w końcu: tak naprawdę nie uwierzę, że widzisz całkiem inaczej niż ja albo większość ludzi. Za dużo masz do czynienia z kolorem, żeby mówić jak ślepy o kolorach. Czuję, że chcesz tu wypróbować jakąś kolejną grę, jakie od zawsze prowadzisz ze światem zewnętrznym. Jesteś urodzonym prowokatorem, najłagodniejszy z ludzi, jakich znam. Posuwasz się dalej niż inni w tych grach; komu przyszłoby do głowy drzeć gotowe miedzioryty, wykonane takim nakładem talentu i pracy, żeby robić z nich kolaże, same w sobie będące grammi form, znaczeń i prowokacji? Twoja kolorystyka jest precyzyjna jak Twoja kreska miedziorytnicza. Tego nie ukryjesz, choćbyś nie wiem jak kombinował.

Z Getem Stankiewiczem rozmawiał Tadeusz Nyczek.
Nagrane we Wrocławiu, w końcu listopada 2000 r.